

1933 r.

Jesień trzydziestego trzeciego roku była doprawdy zachwycająca. Liście niczym kolorowe kwiaty sypały się z nieba powoli, jak pierwszy śnieg. Świat okalała jakaś spokojna, przytłumiona melancholią radość. Nie było martwoty, jęku samotnych wierzb, zawodzeń oszalałego wichru. Był tylko odwieczny rytm zmian i bicie ognistego serca ziemi. Tak przynajmniej czułem.

W tę właśnie jesień zmarł mój kuzyn, Jan Dębowski. Osierocił czwórkę małych dzieci i żonę Liliannę. Zdarzyło się to na kilka dni przed uroczystością Wszystkich Świętych. Pogrzeb zaplanowano na dwudziestego dziewiątego października.

Jadąc piaskową, zamiataną przez ciepły wiatr drogą rozmyślałem o Liliannie. O jej delikatnej, smutnej twarzy i wypowiedzianych cicho słowach. Zastanawiałem się, jak ona przeżyła śmierć Jana. Czy w ogóle coś poczuła? Sztylety bólu czy drobne ukłucia żalu? A może nic nie poruszyło jej cichego serca? Zupełne, bezbrzeżne nic?

Jadąc swoim samochodem, nowo nabytym Bentley'em z 1929 roku, małym cudem z silnikiem R6 o pojemności 4,4 litra, zwracałem powszechne zainteresowanie mijanych ludzi. Wpatrywałem się w pękate i kłębiaste chmury. Zupełnie takie same, jak w dzień ślubu Jana. Doskonale pamiętałem radosną twarz kuzyna i straszną, trupią bladość jej twarzy. A gdy przed kościołem składałem pocałunek na policzku panny młodej, poczułem, jak bardzo była zimna. I jak drżały jej rzęsy. Spłoszony motyl, pomyślałem wtedy.

Zamieszkali na wsi. Na głębokiej prowincji, w porośłym dzikim winem domu. Od dnia ślubu widziałem ich zaledwie kilka razy. On wydawał się rozpromieniony, a ona jak zawsze cicha, milcząca. Samotna.

Gdy dojechałem na miejsce, okazało się, że po tylu latach nadal nic się tam nie zmieniło. Nadchodził wieczór. Krwiste słońce zachodziło za dworem, kreśląc purpurową smugę na horyzoncie. Okna domu wyglądały jak czarne dziury, a drzewa pochłaniał rubinowy blask, jakby trawił je ogień. Dach obsiadły ciemne ptaki.

Odgłos silnika sprawił, że z domu wyszło kilka osób. Rozpoznałem zaledwie dwie, stryja Obawskiego i jego syna, kuzyna Jerzego. Obaj wielcy, grubi, z twarzami przypominającymi śmieszne, woskowe maski. Po przywitaniu zaczęli oglądać mój samochód, zupełnie nie sprawiając wrażenia, że przybyli na pogrzeb. Zostawiłem ich i ruszyłem do środka.

Lilianna siedziała w otoczeniu leciwych, starych matron. Kobiety kołysały się i płakały, jakby ona nie miała własnych łez. Chociaż, kto wie? Być może faktycznie nie miała. Bo gdy ująłem jej dłoń, złożyłem kondolencje i spojrzałem w twarz, nie dostrzegłem nic. Ten sam smutek, który pamiętałem, gościł wciąż na jej białej twarzy. Tylko, że jej bladość zrobiła się jeszcze bardziej pergaminowa i sucha. Wyblakłe oczy były nieruchome, tak samo jak zaciśnięte usta. Przypominała ducha.

Dzieci nie było.

Matka Jana zaprowadziła mnie do pokoju, w którym spoczywało ciało zmarłego. Wyglądał, jakby zmęczony długim wysiłkiem położył się spać. Być może była to po części prawda, bo czymże jest życie, jak niekończącą się walką i zmaganiem z nieprzyjaznymi wiatrami, a śmierć końcem tej udręki? Sine cie-

nie otaczały jego zamknięte oczy. Przeżegnałem się i pomyślałem, że on już wszystko wie i że nie ma już dla niego żadnych tajemnic.

Cały dalszy dzień był groteską. Mężczyźni pili, wałęsali się po ogrodzie, poklepywali po plecach. Zastanawiałem się, co spowodowało, że tylu ludzi przyjechało tak wcześnie.

Mało wspomniano zmarłego. Słyszałem tylko co i rusz powtarzane słowo: testament... testament...

Nie za bardzo rozumiałem, dlaczego ludzie tak się interesują majątkiem kuzyna. Według mojej wiedzy nie posiadał on aż takich bogactw, żeby były źródłem zazdrości czy pragnień.

Gdy zapadł zmierzch, zaczęli schodzić się okoliczni mieszkańcy na modlitwy przy zmarłym. Nie lubiłem tego. Zawodzących śpiewów, pochlipywania starych kobiet, które pewnie nawet zmarłego nie znały, zapachu świec i chrzestu różańcowych paciorków. To wszystko przypominało mi o własnej śmierci.

Zabrałem ze sobą szklankę piwa i poszedłem na górę do swojego pokoju. Zaczynałem żałować, że gnany troską o Liliannę, przyjechałem tak wcześnie. Piłem piwo, oparty o okno, gdy między drzewami w rozświecającym się na dole sadzie zobaczyłem ją. Czarna bluzeczka, którą miała na sobie, była bardzo lekka, a jesienny wiatr zimny. Wydawało się, że chłód nie robi na niej wrażenia. Stała blisko drzew, lekko się kołysząc. Nagle odwróciła i uniosła twarz. Byłem prawie pewien, że patrzy na mnie. Nie wiem dlaczego, ale spanikowałem. Podskoczyłem i schowałem się za zasłoną. Serce biło mi szybko. Nie potrafiłem określić, czego tak się przestraszyłem, ale przez moment dosłownie mnie zmroziło. Zasłona była bardzo ciemna i otulała mnie, niczym żałobny kir. Wzdrygnąłem się. Z dołu słyszałem smętne pieśni żegnające duszę mojego kuzyna. Ten dom cały był przesiąknięty śmiercią.

Podszedłem do miednicy, żeby przemyć twarz. Pochyliłem się nad toaletą i zapaliłem papierosa. Płomień zapalki na moment mnie oświecił. Jasne oczy uciekły w głąb oczodołów, cienie rozłożyły się pod powiekami i zaplątały we włosy. Usta miałem ciemne, jakbym napił się krwi. Wyglądałem jak jakiś upiór, albo kolejny nieszczęśnik czekający w kolejce do grobu.

Musiałem wyjść.

Weranda tonęła w delikatnej poświacie, płynącej z rozświetlonych okien. Usiadłem na ławce, czując, jak powoli wraca mi równowaga. Obecność ludzi, dyskretny gwar, to wszystko było częścią życia. Inną, niż ponura martwota pokoju na górze. Myślałem o Liliannie. Byłem już niemal pewny, że jej postać w ogrodzie była tylko przywidzeniem, omamem wywołanym zmęczeniem i żalobą.

Z kuchni wytoczył się mój stryj. Miał czerwoną twarz, a oczy świeciły mu się, jak dwa błyszczące szkiełka. Pomyślałem, że musiał się już nieźle spać.

- Wilhelm! Nieładnie chłopcze, nieładnie. Siedzisz tutaj zamiast modlić się o duszę biednego kuzyna? - pogroził mi rubasznie palcem i spojrzał na mnie cokolwiek nieprzytomnie.

- Już wracam - odpowiedziałem gasząc papierosa.

Stary złapał mnie za ramię.

- Ja wiem, po coś przyjechał. Zresztą tak, jak my wszyscy.

- Nie rozumiem.

- Nie udawaj głupiego - Obawski zaczął dyszeć - Testament! Niby Jan taki prostoduszny był, ale ponoć

zgromadził niemałą fortunę. Sprytny jesteś, ale mnie nie nabierzesz. Niby nikt nic nie wie, ale patrz, jak się zlecieliście. Jak sępy nad padliną. W rodzinie mówiło się nie raz o klejnotach prababki Stanisławy.

- Nie wiem, o czym stryj mówi.

Staremu wzrok zmętniał jeszcze bardziej. Próbował coś powiedzieć, podpierając się na moim ramieniu, ale nieskoro mu to szło.

- Jeśli jednak faktycznie Jan się wzbogacił, to i tak wszystko dostanie Lilianna i ich dzieci, to oczywiste - dodałem.

Zaprzeczył, kiwając gwałtownie głową i palcem.

- Ponoć żonka naszego kuzyna nie była taka święta, a rodzinne stadko nie takie szczęśliwe, jak by się wydawało. Nic nie wiadomo... nic nie wiadomo... A nawet, jeśli - stryj pochylił się tak blisko, że odór wódki niemal zwałił mnie z nóg. - Nawet jeśli ona wszystko dostanie, to zawsze młodą wdówkę można załamucić...

Odepchnąłem go z obrzydzeniem. Zatoczył się lekko, ale nie stracił równowagi. Stał chwilę, łapiąc oddech z wykrzywioną złością twarzą i byłby się w pijackim amoku na mnie rzucił, gdyby na werandzie nie pojawiła się Lilianna. Wracła od strony sadu. Nawet nie spojrzała na stryja. Przeszła obojętnie i na krótką, króciutką chwilę wczepiła swoje sarnie oczy w moją twarz. Znikając w domu, zdałem sobie sprawę, że kobieta z sadu nie była żadnym przywidzeniem. To była jednak ona.

Około godziny dwudziestej trzeciej żałobnicy opuścili dom Jana. Gdzieś około północy zerwał się okropny wiatr. Wył i zawodził, a stukanie gałęzi w szyby nie pozwalało spać.

Rankiem ubrałem garnitur, założyłem kapelusz i wyszedłem przed dom. Idąc, w korytarzu dostrzegłem dzieci Jana i Lilianny. Maria z Anną bawiły się lalkami, Stefan obracał koła drewnianej zabawki, tylko Karolina stała oparta o drzwi prowadzące do pokoju, w którym leżał zmarły. I płakała cicho.

Chmury zakryły niebo. Niedawna wichura zerwała resztę listopadowych liści. Nagie kikuty drzew i krzewów stały teraz bezbronne, kołysząc się miarowo. A my, żałobnicy? My tonęliśmy po kostki w liściach i wdychaliśmy ich wilgotny, smutny zapach.

Około dziewiątej zjawił się ksiądz z ministrantami. Stryj z moim kuzynem i dwóch innych mężczyzn wyniosło trumnę z domu. Za dębową skrzynią szła Lilianna, trzymając młodsze dzieci za ich małe rączki. Ciemna woalka w czarne groszki zakrywała jej marmurową twarz. Widziałem tylko delikatne płatki wąskiego, wydatnego nosa i usta pomalowane na krwisty, czerwony kolor.

Szliśmy do kościoła za trumną przez las. Wśród rozwiewanych liści i szumu tak niespodziewanie огоłoconych drzew, wyglądaliśmy jak stado szpaków, czy też gawronów. Przed kościołem czekało już wielu ludzi, większość ze wsi. Pomyślałem, że Jan musiał być dobrym człowiekiem, skoro tylu przyszło go pożegnać.

Nabożeństwo było piękne. Naprawdę piękne. Nigdy nie byłem zbyt religijnym człowiekiem, ograniczając się tylko do niedzielnej mszy i modlitwy w jakichś poważniejszych kłopotach. Ale pogrzeb Jana poruszył we mnie jakąś ukrytą strunę, czy też wrażliwość. Ubolewam na tym, że trwało to tylko kilka chwil. Zwłaszcza, że z tego natchnienia wyrwał mnie pewien incydent.

Już na cmentarzu, gdy trumnę z Janem złożono w rodzinnym grobowcu i ludzie zaczęli się rozchodzić, do

Lilianny podeszła stara kobiecina. Podeszła, wzięła się pod boki i ku mojemu zaskoczeniu, oraz konsternacji innych ludzi, splunęła jej pod nogi, sycząc:

- Bądź przeklęta, wiedźmo!

Lilianna nie zareagowała w żaden sposób. Tylko jej usta stały się jeszcze bardziej karminowe, a zaciśnięte na dłoniach dzieci knykcie, pobiełały. Nic nie mówiąc wróciliśmy do domu.

Stypa była równie męcząca, co dzień wczorajszy. Żałobnicy jedli i pili, rozmawiając głośno i czasem wspominając zmarłego. Kobiety całkiem bezwstydnie zagadywały mężczyzn, jakby przybyły na przyjęcie noworoczne, a nie pogrzeb. Lilianna obsługiwała gościom razem ze swoją matką. Miała ciemną suknię, która przy pochylaniu się ukazywała skrawek jej pełnych, białych piersi. Dopiero późnym wieczorem usiadła razem z nami. Stryj bardziej niż inni mężczyźni pijany, przysiadł się do niej i zaczął szeptać coś do ucha. Przez moment zobaczyłem grymas odrazy na jej twarzy. Ale tylko przez moment. W momencie, gdy Obawski objął ją w pasie, wyszedłem.

W korytarzu spojrzałem w lustro. I ujrzałem to samo, co wczoraj. Biała twarz, rozgorączkowane, sine oczy i czarne usta. Coś było nie tak ze zwierciadłami w tym domu.

Długo słyszałem gwar na dole. Wyjechałbym, gdyby nie Wszystkich Świętych i testament. Chciałem wiedzieć, jak to się skończy. I czy ten drań, Obawski coś dostanie.

Wszystkich Świętych, uroczystość ku czci dusz. Ostatecznie zmarłych, czy może płynących na falach wieczności? Któż to może wiedzieć? My poddaliśmy się corocznemu rytmowi tego święta. Msza, cmentarz rozświetlony woskowymi świecami powbijanymi w groby, obiad.

W południe zjawił się prawnik. Zasuszony pan z wielkimi bokobrodami.

Okazało się, to, o czym mówił stryj, było prawdą. Jan zgromadził pokaźny majątek. Głównie dzięki gieldzie, jeszcze przed wielkim kryzysem, wykupie lasów i sprzedaży drzewa. Nigdy nie afiszował się z fortuną. W jego domu też nie było widać zbytku.

Lilianna i jej dzieci dostali większość. Chyba nawet ona sama się tego nie spodziewała, bo jej twarz zarumieniała się, sarnie oczy powiększyły, a pierś zaczęła niespokojnie falować. To wszystko było dziwne. Zacząłem się zastanawiać, co się właściwie w tym domu działo.

Stryj również dostał swoją część. Ale chyba za mało, bo spieniony wyszedł z pokoju. Ku mojemu zdziwieniu, nawet ja coś otrzymałem. Jan okazał szczerą rękę i obdarował wielu krewnych.

Gdy prawnik odjechał, większość pozostałych jeszcze gości również zaczęła opuszczać dwór. Wieczorem miałem odjechać i ja. Gdy się pakowałem, usłyszałem jakąś szarpaninę obok moich drzwi. Zerknąłem i ujrzałem, jak stryj trzyma za nadgarstki żonę Jana i szeptał jej coś szybko. Kobieta szarpała się, ale stary był silniejszy. W momencie, gdy chwycił ją w pasie i przysunął do siebie, nie wytrzymałem. Wybiegłem z pokoju i oderwałem go od niej.

- Idź precz, starcze! - zawołałem.

Obawski szybko otrząsnął się z zaskoczenia. Zamachnął się i uderzył mnie w twarz, po czym wyszedł wściekle klnąc. Lilianna spojrzała na mnie płacząc, wytarła krew z moich ust. Chcąc ją pocieszyć, pogładziłem ją po twarzy. Wtuliła się w moją dłoń, jakby tam mogła znaleźć ukojenie. Gdy znów podniosła oczy, miała na policzku roztartą szminkę. Staliśmy tak przez chwilę, oboje naznaczeni szkarłatem. Ja kr-

wią, ona mazidłem.

Zapadał zmierzch, kiedy zniosłem swój bagaż do samochodu. Zmitrężyłem i dlatego wypadło mi jechać po ciemku. Mógłbym oczywiście jeszcze zostać, ale miałem już dość tego domu i zamieszkujących w nim tajemnic. Nie chciałem nic wiedzieć.

Złożyłem bagaże i już miałem wrócić do domu, żeby się pożegnać, gdy moją uwagę znów przykuł sad. To była ona, Lilianna! Tym razem nie widziała mnie, szła prosto przed siebie. Zanim znikła między drzewami, zobaczyłem, że była ubrana w białą powłóczystą sukienkę, a ciemną głowę miała zakrytą haftowanym, lekkim sukniem. Czyżby to była suknia ślubna? Nie pamiętałem, jak była ubrana w dniu zaślubin z Janem.

Poszedłem za nią. Wiatr znów się zerwał. Z daleka widziałem, jak jej welon trzepocze delikatnie, a przydługa spódnica sunie po szeleszczących liściach.

Zdałem sobie sprawę, gdzie zmierza, kiedy poczułem ciepły, mdławny zapach wosku i zobaczyłem rozświetloną ciepłym blaskiem ciemność.

Szła na cmentarz.

Skryłem się między drzewami. Mimo łagodnego wiatru setki świec wciąż się paliło. Te, które zgasły, snuły białawe dymy ku górze, tworząc lekkie opary. Szła powoli, zwrócona delikatnym profilem ku grobom. Jej ciało o śnieżnej skórze odziane w białe giezło, szerokie rękawy podkreślające nadgarstki, czarne lśniąco włosy zakryte spływającym na jej plecy i ramiona jak rzeka welonem. To wszystko sprawiało, że wyglądała niesamowicie, jakby nie z tej ziemi. Przystanęła na chwilę w niepewności, nerwowo wyłamując palce i rozglądała się, jakby szukając czegoś. Po jej twarzy płynęły łzy.

Pomyślałem, że chyba oszalała.

Pochylała się, wyjmowała z piachu po kilka świec i zanosila je do rodzinnego grobowca. Wkrótce miejsce spoczynku Jana rozświetlone było rzęsiście. Lilianna powbiiała świece w żelazne ogrodzenie, w piach wokół grobowca. Oświetliła twarze wyrzeźbionych aniołów i świętych, które wyglądały teraz, jak jakieś upiory ze starych legend. Stała tak chwilę, a później uklękła i zanosila się szlochom. Chwyciła żelazne, ostre pręty ogrodzenia i płakała. Później wstała, i łkając muskała twarzyczki aniołów, gładziła granitowy kamień, przytulała do niego twarz. Zobaczyłem, że jej suknia poplamiona jest krwią, tak, jak twarze rzeźb, których dotknęła. Musiała zranić dłonie, o ostre ogrodzenie. Krążyła, to przytulając się do grobu, to oddalając się od niego. Gryzła dłonie, szarpała z welon. Trzęsąc się, chodziła tam i z powrotem. W momencie, gdy niemo patrząc na grób upadła na kolana i rozcapierzając ręce zaczęła bezgłośnie wyć, uciekłem.

Tak, wiem, że nie powinienem był jej tak samej zostawić. Ale w tamtej chwili nie byłem w stanie tego zrobić. Zapach nieszczęścia, rozpacz i żalu otaczał to miejsce. Byłem niemal pewien, że ona nie przysła tu rozpaczać nad utraconą miłością. Potrzebowała przebaczenia. Tylko za co? Co zrobiła? Co ją tak dręczyło? Teraz się nad tym zastanawiam. Ale wtedy... wtedy, chciałem już tylko odejść. Opuścić to przeklęte miejsce. Uruchomiłem samochód i odjechałem, żeby już więcej tam nie wrócić.

Nie widziałem jej już nigdy, chociaż nieraz zastanawiałem się, co się z nią stało. Czy osiągnęła spokój? Może na zawsze utraciła zmysły? A może umarła? I dlaczego wtedy, ta wiejska kobieta ją przeklęła?

Później nastąpiła ta straszna wojna, która zabiera ludzi, albo rzuca ich w obce miejsca. Nie ujrzałem jej już nigdy. Ale wciąż mam przed oczami postać Lilianny, jak pochyla się nad płytą grobowca i czule ją gładzi, jakby w ten sposób prosiła o wybaczenie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kardemine, dodano 29.05.2012 08:55

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.